

Juliusz Domański

Warszawa

Lech Szczucki – instytutowy kolega, przygodny współpracownik, przygodny protektor i nauczyciel

Poznałem go na samym początku moich kontaktów z IFiS PAN, gdzie już pracował inny mój kolega i przyjaciel ze studiów i poprzedniego miejsca pracy, Władysław Seńko. Starłem się bezboleśnie i bezkonfliktowo pożegnać z poprzednim miejscem pracy, czyli Instytutem Wydawniczym PAX, i w kontekście tych moich starań powstał pomysł, abym w tworzącym się właśnie IFiS PAN podjął pracę zleconą jako latynista i ewentualnie grezysta doskonalszy w tych językach młodych instytutowych pracowników. Podjąłem ją chyba już pod koniec lat pięćdziesiątych, a jednym z najgorliwszych i najwytrwalszych jej uczestników był on właśnie. Dziwna to była dydaktyka. Wśród „uczniów” były indywidualności nieprzeciętne: obok Lecha Szczuckiego na przykład Krzysztof Pomian. Toteż godziny lektoratu wypełniały się, bywało, długimi dyskusjami daleko odchodzącymi od gramatyki łacińskiej, a wnikającymi głęboko w filozoficzne treści analizowanych językowo tekstów, np. *Tuskulanek* Cyserona, od których, jeśli dobrze pamiętam, zacząłem. Grecki lektorat w praktyce się nie narodził w ogóle. Ostatecznie więc funkcją moją w tym gronie stało się swego rodzaju latynistyczne doradztwo, a więc i pomoc w ustalaniu bądź korygowaniu już sformułowanych łacińskich tekstów, nad których wydawaniem i interpretacją pracowali lub dopiero mieli pracować niektórzy uczestnicy tych spotkań lektoratowych. Przez kilkadziesiąt lat miało się to utrzymać jako stały element mojej z Lechem Szczuckim współpracy i przyjaźni, a wokół tego tematu

i trybu współpracy zgromadziły się inne, o których chcę opowiedzieć. Od razu tylko dodam, że poczynając od 1 stycznia 1962 r. zacząłem w IFiS PAN etatową pracę jako starszy asystent w Zakładzie Filozofii Starożytnej i Średniowiecznej, a Lech Szczucki był tam już od dłuższego czasu pracownikiem innego zakładu, mianowicie Zakładu Filozofii Nowożytnej, organizacyjnie zatem byliśmy rozdzieleni, lecz łączyła nas właśnie łacińska tożsamość źródłowego materiału, będącego przedmiotem badań jednego i drugiego zakładu. Okazuje więc do współpracy nastęrczały się same.

Pierwszą chyba, a w każdym razie jedną z pierwszych, była ta, której owocem stały się *Miscellanea Arianica*, zebrane przez Lecha Szczuckiego i wspólnie przez nas obu opracowane i wydane w „Archiwum Historii Filozofii i Myśli Społecznej VI” z 1960 r., ostatnią zaś, jeśli dobrze pamiętam, była *Disputatio scholastica* Jakuba Paleologa, wydana przez nas wspólnie jako osobna książka jako volumen 3 Bibliotheca Antitrinitariorum, firmowana przez unitarian holenderskich w 1994 r. Pomiedzy tymi wspólnymi dziełami edytorskimi pojawiały się różne owoce podobnej do tych współpracy. W 1972 r. na przykład opublikowałem w wydanej pod redakcją Lecha Szczuckiego antologii *Myśl filozoficzno-religijna reformacji XVI wieku* dwa przekłady tekstów reformacyjnych.

Nie będę jednak teraz mnożyć bibliograficznych przykładów tej koleżeńkiej współpracy. Jak już miałem okazję wcześniej we wspomnieniu pośmiertnym, postaram się scharakteryzować ją i teraz w innym nieco trybie. Długie dzieje bowiem naszej przyjaźni i współpracy utrwaliły się w mojej pamięci przede wszystkim jako owoce działalności Lecha Szczuckiego – działalności ściśle związanej z dziejami IFiS PAN na terenie jego osobistej, ale *ipso facto* też instytucyjowej współpracy z dwoma ośrodkami naukowymi zagranicznymi: węgierskim Instytutem Badań Literackich WAN i włoskim Istituto Nazionale di Studi sul Rinascimento. Współpraca z tym drugim zaczęła się wcześniej, zaczęną jednak od pierwszego, bo mój w niej udział szybciej się skończył i był tylko epizodyczny.

Mówię o wieloletniej pracy Lecha Szczuckiego nad korespondencją Andrzeja Dudycza. Podejmując ją u początku lat siedemdziesiątych, Szczucki, jeśli dobrze pamiętam, proponował mi w niej trwały udział, ponieważ jednak nie mogłem pomieścić jej wśród swoich aktywności, ograniczył się ostatecznie do zaproponowania mi, abym uczestniczył tylko we wstępnych ustaleniach dotyczących technicznych problemów edytorskich jako filolog neolatynista. Trzeba było

ustalić dla olbrzymiego przedsięwzięcia edytorskiego tak ważną zasadę jak przewidziana w przyszłej edycji ortografia łacińska: czy ma się stosować do kapryśnych i zmiennych zwyczajów epoki Dudycza, czy należy raczej ustalić zasadę jednolitą, a od tych zwyczajów niezależną.

Po osiągnięciu przez niego wystarczająco bogatych zasobów materiałowych tej korespondencji i ustaleniu, że współwydawcą powinien być Instytut Badań Literackich Węgierskiej Akademii Nauk, zostało zawarte odpowiednie o niej porozumienie. Po wstępnej z węgierskim instytutem korespondencji, prowadzonej przez nas po niemiecku w przekonaniu, że językiem, który przetrwał na Węgrzech jako język monarchii austro-węgierskiej, jest język niemiecki, wybraliśmy się obaj do Budapesztu, aby w bezpośredniej rozmowie zakończyć ostatecznie wstępne ustalenia. Na miejscu okazało się, że ważna osobistość biorąca udział w naszej niemieckojęzycznej korespondencji o wiele lepiej niż po niemiecku mówi po francusku. Pomyłka nie miała jednak dla wyniku rozmów większego znaczenia. Nasza propozycja ortograficzna dla przyszłej edycji została przez stronę węgierską przyjęta chętnie i zaczęła się długoletnia owocna współpraca. Nie biorąc już w niej udziału, miałem jednak przez cały czas jej trwania przyjemne samopoczucie, żem wszystkim biorącym w niej edytorski udział swoją równie prostą jak śmiałą propozycją ortograficzną (bo jednak wśród neolatynistów mocno się utrwaliło przekonanie, że trzeba zachowywać w łacinie postantycznej obyczaje pisowniowe różnych epok) nie mało tę pracę ułatwił. Jakoś zresztą tak się sprawy ułożyły, że przyjeżdżający kilkakrotnie do Lecha Szczuckiego w jej sprawach filolog klasyczny Tibor Szepessy miał ochotę spotykać się również ze mną, i przegadałem z nim długie godziny na różne tematy. Dziś obaj, Tibor Szepessy i Lech Szczucki, już nie żyją, a ja, starszy od nich, jeszcze uczestniczę w tych wspomnieniach. Więc jeszcze słów parę o mojej węgierskiej przygodzie, którą zawdzięczam Lechowi Szczuckiemu – tej pierwszej, po której nastąpiła dla jakichś zapomnianych przeze mnie powodów i druga jeszcze. Opisałem obie szczegółowo w moich wspomnieniach, więc ich tu nie będę już powtarzał. Wspomnę tylko, że i za pierwszym, i za drugim razem miałem podczas tych dwóch wspólnych w Budapeszcie pobytów w Instytucie Badań Literackich WAN wykład. Za pierwszym razem w 1974 r. jego tematem był pewien wątek wybrany ze świeżo opublikowanej po polsku książki habilitacyjnej *Erasm i filozofia*. Jacyś mający być słuchaczami uczestnicy zebrania, na którym miał być głoszony, uprzedzeni, że będzie głoszony po niemiecku, prosili o inny język, jeśli nie angielski,

to francuski. Postarałem się o tę francuską wersję i rzecz okazała się w świetle tego, co wyżej powiedziałem, chyba bardziej fortunna od pierwotnego zamiaru.

Trzy lata później byłem ze Szczuckim w Budapeszcie raz jeszcze w tej samej sprawie dotyczącej wydania korespondencji Andrzeja Dudycza. Tak się złożyło, że obchodziłem tam – po kryjomu, bo umyślnie rzecz zatailem – moje nie byle jakie, bo pięćdziesiąte urodziny. Przypadkiem był to zjazd międzynarodowy nieco bardziej okazały. Ze strony polskiej była też w Budapeszcie gościem Tibora Klaniczaya profesor Maria Cytowska, moja starsza i bardzo już sławna koleżanka z filologii klasycznej. Był ponadto jego gościem nieznan mi jeszcze osobiście, lecz znany z lektur uczony francuski, wedle miejsca zamieszkania paryżanin, pracujący jednak w Tours, gdzie był profesorem, a bardzo intensywnie i owocnie zajmujący się Erazmem z Rotterdamu. Spotkanie poświęcone korespondencji Dudycza odbyło się oczywiście bez udziału tych dwu osób. Natomiast drugiemu mojemu wygłoszonemu w Budapeszcie wykładowi towarzyszył na tym samym posiedzeniu wykład Jeana-Claude’a Margolina. Ja tym razem po niemiecku powtórzyłem swój wykład głoszony rok wcześniej w Monachium w Deutsche Copernicus Forschungsstelle ze zmienionym tylko tytułem (w Monachium tytuł brzmiał „Der Begriff der Philosophie vor Copernicus”; jak brzmiał w Budapeszcie, nie pamiętam). Jean-Claude Margolin mówił o organizowaniu kongresów neolatynistycznych, odbywających się okresowo w ośrodkach naukowych na zachodzie Europy. Maria Cytowska nie brała chyba w tym posiedzeniu udziału, ale wszyscy troje spotkaliśmy się razem na kolacji, zaproszeni tam przez naszego gospodarza, profesora Tibora Klaniczaya. Osobiście, jeśli dobrze pamiętam, nie miał on żadnego udziału roboczego w zaczętej dopiero edycji korespondencji Dudycza, patronował jej jednak niejako z urzędu, ponieważ pełnił jakąś wysoką funkcję w Węgierskiej Akademii Nauk lub może tylko w jej literackim Instytucie. Był to węgierski arystokrata, mimo to pełniący swoje honorowe i faktycznie ważne funkcje w ówczesnej węgierskiej humanistyce, hungarysta i italianista w jednej osobie, uznawany i wysoko ceniony także przez uczonych zachodnich, poznany przez Lecha Szczuckiego, jeśli mnie pamięć nie myli, we Włoszech, drugim, o wiele ważniejszym dla mnie kraju, do którego – mogę to powiedzieć bez żadnej przesady – drogę otworzyła mi moja współpraca z Lechem Szczuckim.

Skutki tego otwarcia były dla mnie od dwóch epizodów węgierskich o wiele ważniejsze. I teraz pora zająć się nimi.

Do Italii zaprowadziły Lecha Szczuckiego przede wszystkim chyba tamtejsze początki socynianizmu, czyli doktryny, którą przyjęli z czasem socynianie zwani odtąd braćmi polskimi, radykalny odłam reformacji. Jak wiadomo, socynianizm nie był jedyną dziedziną badań Lecha Szczuckiego, był jednak w tych badaniach dziedziną ważną i stale obecną. Nie pamiętam, kiedy Szczucki wyjechał do Italii po raz pierwszy, pamiętam jednak dobrze, że jeździł tam często, że pobyty jego bywały długie i że nie ograniczając się do badań nad socynianizmem, uczyniły z niego świetnego znawcę kultury włoskiego renesansu, zwłaszcza z jego okresu współczesnego reformacji. Ograniczę się więc do niewielu wspólnych tam naszych pobyków i do tego, co z nich wynikło dla mnie.

Pierwszy taki pobyt przypadł na jesień 1967 r. i miał nawet trzeciego jeszcze bliskiego nam dwóm towarzysza, towarzyszem tym zaś był zaprzyjaźniony z nami oboma profesor Janusz Tazbir. Podczas gdy on był beneficjentem innego zupełnie stypendium, my obaj z Leszkiem byliśmy stypendystami rządu włoskiego, związanymi relacją z Istituto Nazionale di Studi sul Rinascimento, współkierowanym przez profesora Eugenio Garina. Leszek znał go już dobrze i uważał, że powinienem i ja nawiązać z nim bliższe kontakty. Tak się też i stało, i odegrało to ważną rolę w późniejszym moim naukowym życiu, do czego jeszcze niebawem powrócę. Tymczasem dodam, że głównym zamiarem moim było skorzystanie z tego stypendium dla zapoznania się podczas tego pobytu we Florencji z potrzebną mi do przygotowywanej rozprawy habilitacyjnej o Erazmie literaturą. Tak się też i stało, a stało się w bogatym kontekście najrozmaitszych przygód, jakie przeżyłem przez niespełna dwa miesiące pierwszego mojego włoskiego pobytu, który podobnie jak późniejsze węgierskie opisałem w moich wspomnieniach.

Nawiązany wtedy kontakt z profesorem Eugenio Garinem miał niedługo później swój barwny i wielce owocny ciąg dalszy. W 1971 r. Lech Szczucki zorganizował włosko-polską konferencję na temat *Movimenti ereticali in Italia e in Polonia* z udziałem licznej grupy polskiej nie tylko z Warszawy i z Polskiej Akademii Nauk, ale również z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i innych jeszcze uczelni. Również tę imprezę, a także swój w niej prelegencki udział, dokładnie opisałem w swoich wspomnieniach i tutaj już jego opisu nie powtarzam. Poprzestanę tylko na opowiedzeniu mojej szczególnej przygody zaaranżowanej przez Lecha. Oto zaraz po pierwszym posiedzeniu, a przed wieczornym przyjęciem dla uczestników w Palazzo

Vecchio, ustalił on z Garinem – porozumiewawszy się rzecz jasna przedtem ze mną – że podczas przyjęcia wygłoszę improwizowaną mowę po łacinie. Tak się też i stało, i skutek tej mowy był taki, że Eugenio Garin darzył mnie odtąd niebywałą estymą, mimo że merytorycznie była to rzecz słaba i pełna niedokładności historycznych. Podoobała mu się jednak moja łacina, i jeszcze osiem lat później, kiedy mi przyszło – też z inicjatywy i inspiracji Lecha Szczuckiego – wygłosić w Istituto Rinascimento sprawozdawczy wykład z owoców mojej ówczesnej tam kilkutygodniowej pracy, Garin przypomniał mnie uczestnikom zgromadzenia jako tego, który przed kilku laty miał we Florencji przemówienie w klasycznej, jak podkreślił mocno, łacinie. I to również opisawszy szczegółowo, jak cały pobyt, w moich wspomnieniach, poprzestając teraz na tej lakonicznej wzmiance, aby podkreślić zarówno śmiałość i oryginalność Lechowego pomysłu, jak też i nade wszystko jego szczerą dbałość o to, aby mnie jak najskuteczniej Garinowi zarekomendować i polecić. Skutki tego faktyczne i w moim odczuciu były takie, że po dziś dzień żywię mocne i niezachwiane przekonanie, że to dzięki Lechowi Szczuckiemu czytałem z obfitej twórczości Garina tyle, że wzbudziłem w sobie szczerze przekonanie, iż jest on jako historyk filozofii renesansowej jednym z dwóch moich zagranicznych mistrzów.

Jednym z dwóch, bo za drugiego uważam – i nie bez racji, jak jestem mocno przekonany – ni mniej, ni więcej tylko Paula Oskara Kristellera. W innym zupełnie trybie bowiem i niewiele później, bo jesienią roku 1973, przygotowując się do kolokwium habilitacyjnego, od młodszego ode mnie o lat sześć i już wyhabilitowanego Lecha Szczuckiego dostałem nie tylko przyjacielską radę, abym się zapoznał z nieznaną mi przedtem wizją filozofii renesansu charakterystyczną dla tego uczonego, ale i niezbędną w tym celu, a niełatwo dostępną Kristellerową książką *Renaissance Thought. The Classic, Scholastic and Humanist Strains*. Przestudiowaawszy ją gruntownie (i chyba, jeśli dobrze pamiętam, nie wykorzystawszy podczas kolokwium, ale za to owocnie do innego zupełnie celu) stałem się odtąd pilnie śledzącym Kristellerową twórczość, a kiedy przypadek zetknął mnie raz i drugi z nim samym, udało mi się skłonić go do wielce owocnych rozmów, do czego zresztą pośrednio, niejako *en passant*, przyczynił się fakt, że w międzyczasie Lech Szczucki wydał jako pierwszy tom otwartej przez siebie w IFiS PAN serii *Renesans i Reformacja*. Studia z Historii Filozofii i Idei bardzo instruktywny zbiór Kristellerowych studiów.

Tak to odpłacił mi się za moje niegdysiejsze latynistyczne przysługi swoją mistrzowską erudycją z dziedziny myśli renesansowej mój przyjaciel. Nie na tym jednak koniec. Moja przygoda z Kristellerem miała jeszcze jeden ważny dla mnie epizod – ficiniański.

W 1984 r. przypadło pięćsetlecie Ficinowego przekładu całej twórczości Platona. Zaproszony do udziału w rocznicowej imprezie do Italii, Lech Szczucki z jakichś powodów nie mógł czy nie chciał z zaproszenia skorzystać. Pomyślał jednak o mnie i zaproponował, że mnie zamiast siebie zgłosi Garinowi, współorganizatorowi tej rocznicowej imprezy. Przyjąłem odważnie tę propozycję, choć nie mogłem i dalej nie mogę uważać się za godnego udziału w niej znawcę twórczości Ficina. Znałem jednak niezłe Leszkowy tom antologii *700 lat myśli polskiej*, renesansowy, drugi z serii tej antologii, którą jako pierwszy otwierał mój własny, średniowieczny. Do Leszkowego tomu jako dodatkowy materiał mojego przyszłego wykładu dołączyłem prace naszego wspólnego kolegi i przyjaciela, dziś również już od dawna nieżyjącego, profesora KUL Jana Czerkawskiego o Janie z Trzciany, i wymyśliłem sobie tytuł mojego wystąpienia w formule *La fortuna di Marsilio Ficino in Polonia nei secoli XVI–XVII*. Efekt był zapewne nie z tych porażających, ale wypełniał lukę w programie wędrownego kongresu zaczętego od Neapolu, kontynuowanego we Florencji i zakończonego w Filigine di Valdarno, miejscu urodzenia Ficina. Był to dziwny kongres, bez osobno organizowanej dyskusji: przedstawiało się referat po referacie, a dyskusja odbywała się w kularowych przerwach jako przygodne rozmowy przy kawie. Po wygłoszeniu swojego wykładu już we Florencji zostałem zagadnięty przez Kristellera (autora dopiero częściowo wtedy wydanego *Iter Italicum*) pytaniem, czy znam krakowską antologię wyimków z przekładów Ficina, antologię rękopiśmienną nie Biblioteki Jagiellońskiej, ale jakiejś małej biblioteki. Nie znałem takiej antologii, więc Kristeller obiecał mi, że po powrocie do Nowego Jorku prześle mi odpowiedni wyciąg z przygotowywanego dopiero tomu *Iter Italicum*. Obietnicy dotrzymał, i tak zapoznałem się z piękną, także graficznie, niedokończoną, ale obfitą i ciekawą antologią Ficiniańskich przekładów Biernata z Lublina w rękopisie Biblioteki PAU, rejestrowaną zresztą w katalogu Jana Czubka, ale mnie zupełnie nieznaną. Zaprzątnięty innymi pracami, wiedziałem, że nie mogę sobie dołożyć nowej w postaci edycji tej antologii, choć na to bardzo zasługiwała i miałem na to wielką ochotę. Podjął się takiej pracy świeżo wypromowany w 2000 r. mój doktorant, dziś profesor, Włodzimierz Olszaniec, i jeszcze nad nią pracuje.

Nasza współpraca z Lechem Szczuckim w IFiS PAN trwała dalej, mniej intensywna niż w poprzednim okresie, bom nie kontynuował w żadnej formie prac nad edycją korespondencji Dudycza. W innym miejscu opowiedziałem już o tym, jak w ostatnim etapie swoich aktywności w IFiS PAN Lech Szczucki był troskliwy i aktywny jako przewodniczący Rady Naukowej IFiS kilku kadencji, nie będę więc tego relacjonował tutaj, w tym opowiadaniu o moich własnych ze współpracy z nim korzyściach. Z nich jednak chciałbym na zakończenie przedstawić jedną jeszcze.

Oto zaczawszy nasze relacje od wspomnianego na początku lektoratu łacińskiego, którego Leszek był uczestnikiem, teraz chcę dodać, że w pewnym momencie tych relacji wzajemnych role jakby się odwróciły. Od pierwszego wspólnego wyjazdu do Florencji ja zacząłem mieć w Leszku mojego mistrza w przyswajaniu sobie języka włoskiego. Nie były to żadne systematyczne i metodyczne lekcje. Używając zrazu do rozmów z moimi włoskimi kolegami języka francuskiego, rzadziej i zupełnie wyjątkowo też niemieckiego, a czytając już od samego początku coraz więcej po włosku, korzystałem towarzysko i niepostrzeżenie z rozmaitych cennych uwag i przypadkowych instrukcji Leszkowych. On bowiem już wcześniej, przygotowując się do swoich włoskich podróży, wyuczył się go *expedite*.

W takiej to towarzyskiej postaci był mi do ostatnich niemal chwil cennym w tym zakresie pomocnikiem. Był także od samych początków naszej znajomości aż po nieomal kres swojego życia niezwykle cennym czytelnikiem i krytykiem niemałej części tego, co mi się udało w życiu napisać. Rozważny i oględny, wnikliwy i uważny czytelnik tekstów cudzych, obdarzony starannie pielęgnowanym talentem pisarskiej klarowności i bezpretensjonalności, umiał delikatnie wytknąć wszelakie błędy cudzego pisarstwa i jednocześnie dostrzec w nim wszystko, co zasługiwało na tolerancję i uznanie jako indywidualne. Dość krewkiego temperamentu i niehamowanej sztucznie szczerości, umiał ich zażywać tak, że się słuchając jego uwag, żadnej zgola przykrości nie odczuwało. To jeszcze jeden dług mój wobec niego niespłacalny.